



TEODOZJA KAMIŃSKA

Łódź, 16 marca 1948 r. Sędzia śledczy S. Krzyżanowska przy udziale referenta Okręgowej Komisji Badania Zbrodni Niemieckich w Warszawie Andrzeja Janowskiego przesłuchała niżej wymienioną w charakterze świadka, bez przysięgi. Uprowadzona o odpowiedzialności karnej za składanie fałszywych zeznań świadek zeznała, co następuje:

Imię i nazwisko	Teodozja Kamińska
Data urodzenia	1 sierpnia 1903 r.
Imiona rodziców	Antoni i Józefa z Sokołowskich
Miejsce zamieszkania	Łódź, ul. Narutowicza 37 m. 11
Zajęcie	instruktorka szkoły kosmetyki
Wyznanie	rzymskokatolickie
Karalność	niekarana
Stosunek do stron	obcy

W uzupełnieniu mego zeznania z 12 marca 1948 r. wyjaśniam, co następuje: pełniłam służbę między innymi w szpitalu przy kościele św. Jacka. W momencie wkroczenia tam oddziałów niemieckich, 2 września 1944 roku, o ile dokładnie pamiętam – rano (formacji tych oddziałów nie umiem podać, byli to w każdym razie żołnierze w mundurach niemieckich, mówiący po niemiecku i ukraińsku), ranni byli zgrupowani wyłącznie na korytarzu zakładowym. Ani w kościele, ani w kapitularku ich nie było. Wiem natomiast, że w piwnicy (oznaczonej na planie numerem 6) mieścił się punkt sanitarny, jednakże o jego losie nie mogę podać nic konkretnego.

Z personelu sanitarnego, jaki pozostał na terenie korytarza, przypominam sobie następujące osoby: Irena Skowronkówna – siostra „Wanda”, „Zeba”, Karina Jankowska i ja.

W dniu wkroczenia oddziałów niemieckich już wieczorem Ukraińcy i Niemcy dokonali na osobach z personelu sanitarnego, a nawet na rannych szeregu gwałtów (wiem o zgwałceniu pewnej 13-letniej dziewczyny). Wypadki te powtarzały się w ciągu następnych dni.

Po podpaleniu 2 września wieczorem korytarza (działo się to w moich oczach), ranni z korytarza, jak zaznaczyłam to w protokole, zostali wyniesieni na ul. Starą. Na korytarzu pozostawiliśmy tylko jakieś pięć osób, które zmarły z przerażenia po podpaleniu korytarza. Nikt żywy nie pozostał.

Przez cały dzień (mowa o 2 września 1944) miałam wgląd na teren dziedzińca zakładowego. Figurę Matki Boskiej widziałam, żadnego płonącego koło tej figury stosu ani 2 września, ani w ciągu dni następnych aż do momentu mego wyjścia ze Starego Miasta nie widziałam.

Po kilku dniach pobytu na ul. Starej, idąc za radą jakiegoś żołnierza mówiącego po rosyjsku, opuściłam razem z Ireną Skowronkówną, jakąś nieznaną mi 13-letnią dziewczyną, nieznanym mi chłopcem 17-letnim, ciężko rannym żołnierzem i Kazimierzem Goderskim Stare Miasto. Zostaliśmy skierowani do punktu przejściowego w szkole koło Cytadeli. Stamtąd w dużej grupie ludności cywilnej zostaliśmy skierowani do fabryki Pffeifera. Możliwe, że było to naprzeciw, w każdym razie przez teren zakładów Pffeifera przechodziłam. Wpędzono nas na jakiś plac. Przy wchodzeniu odbyła się segregacja, kierowana przez jakiegoś oficera Niemca, do którego żołnierze w mundurach niemieckich, mówiący po ukraińsku (język ukraiński znam), zwracali się: pułkowniku. Z grupy naszej wydzielono osoby starsze, rannych, widziałam też, jak wspomniany „pułkownik” wybrał kilku młodych ludzi. Wyłowił także mnie i zaprowadził do jakiegoś pokoju. Tam zostałam poddana przesłuchaniu co do swoich personaliów, zadawano mi także niepojęte dla mnie pytania z zakresu teologii katolickiej.

Po przesłuchaniu zwolniono mnie, skierowano na plac, zaznaczając, bym nie zbliżała się do ogródka, na terenie którego były zgromadzone osoby wydzielone z naszej grupy, tj. starcy, ranni i kilku młodych ludzi – w sumie około 30 osób, między innymi ciężko ranny mężczyzna, który razem z nami opuścił Stare Miasto.

Gdy nazajutrz rano obudziłam się na placu, zauważyłam, że grupy wydzielonej na terenie ogródka już nie było. Co się z nią stało, nie wiem.

Po parodniowym pobycie na terenie fabryki Pffeifera (zaznaczam, że straciłam wtedy zupełnie rachubę czasu), skierowano nas do kościoła św. Wojciecha przy ul. Wolskiej, skąd przez Dworzec Zachodni zostaliśmy wywiezieni do obozu przejściowego w Pruszkowie.